

OPLATA POCZTOWA UISZCZONA RYCZAŁEM

WARSZAWA, ŚRODA 7 GRUDNIA 1932 ROKU Nr. 14

# PŁOMYK

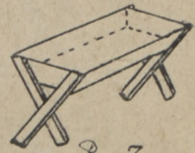
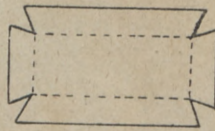
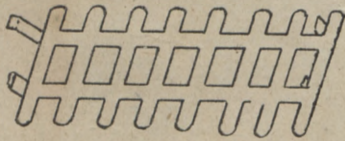
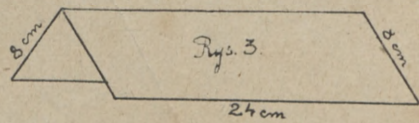
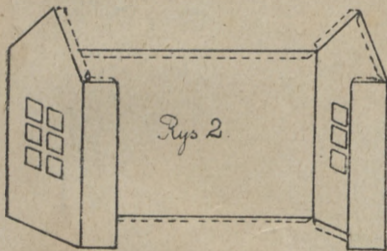
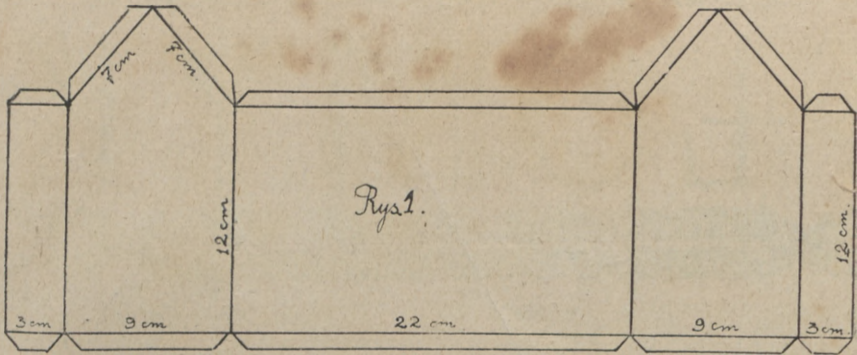
TYGODNIK ILLUSTROWANY  
DLA DZIECI I MŁODZIEŻY



ACHI JAKA TĘCZOWA



## JAK ZROBIĆ SZOPECZKĘ?



Rys. 5.

Rys. 6.

Rys. 7.

Podług rysunku 1 wycinamy z tektury szkielet bocznych ścian szopki i oklejamy go z obu stron szarym lub jasnobronzowym błyszczącym papierem. Na bocznych ścianach wycinamy okna i podklejamy je kolorową bibułką. Szkielet zaginamy w miejscach zaznaczonych, jak na rysunku 2. Wąskie wypustki (tych nie oklejamy) służą do przyklejenia pozostałych części szopki, jak podłoga i dach. Podłogę przyklejamy odrazu. Dach otrzymujemy z prostego kawałka tektury przez zgięcie go pośrodku wzdłuż, jak na rys. 3. Pokrywamy go słomą w ten sposób, że po posmarowaniu go dość grubo klejem układamy (najpierw na jednej stronie dachu) słomki jedną obok drugiej, naprzemian co do długości, jak wskazuje rysunek 4.

Gdy na jednej stronie dachu słomki dobrze przyschną, dopiero wtedy układamy je na drugiej stronie dachu w ten sposób, aby dłuższe wypadały w miejscach słomek krótszych po tamtej stronie. W ten sposób grzbiet dachu będzie zagęszczony. Gotowy dach przyklejamy do górnych zagięć. Z tekturki wycinamy drabinkę, oklejamy ją tym samym błyszczącym papierem, co ściany, i przyklejamy do wewnętrznej ściany widocznej tak, aby górna część odstawała, jak na rys. 5. Za drabinkę wkładamy siana. Również z tekturki wycinamy podług rysunku 6 żłobek, zginamy go, zaklejamy i umieszczamy na nóżkach z drewniek (rys. 7) pośrodku szopki, przyklejając nóżki do podłogi.

W żłobku na sianie ustawiamy malowaną Dzieciątką Jezus, za żłobkiem — malowaną Matką Boską i świętego Józefa. Malowania przymocowujemy przy pomocy podstawek, zrobionych z paska tekturki o odgiętych nieco końcach, z których jeden przyklejamy do malownicy, drugi zaś do podłogi. Jeśli są, można również w szopce ustawić trzech króli, przybyłych do Dzieciątki, z darami, pastu-



# P Ł O M Y K

TYGODNIK ILUSTROWANY DLA DZIECI I MŁODZIEŻY



Fot. „Fototechnika“.

LOTNIK KARPIŃSKI I MECHANIK ROGALSKI.

## POLSKIE SKRZYDŁA NAD AZJĄ I AFRYKĄ.

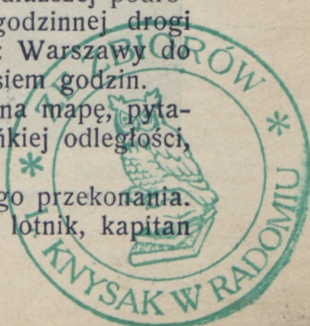
Czyście kiedykolwiek odbywali dłuższą podróż koleją?

A jeżeli tak, to czy potem, już po skończeniu tej dłuższej podróży zadaliście sobie trud porównania przebytej kilkugodzinnej drogi z odległościami na mapie? A więc: wyjeżdżacie np. z Warszawy do Przemyśla. Podróż dość daleka, która trwa przeszło osiem godzin.

— Doprawdy — zadajecie sobie potem, patrząc na mapę, pytanie — czyż trzeba aż ośmiu godzin na przebycie maleńkiej odległości, zaznaczonej na mapie, z Warszawy do Przemyśla?

Skala mapy jakoś nie chce przemawiać do Waszego przekonania.

Zapewne dowiedzieliście się już o tem, że polski lotnik, kapitan





Karpiński, dokonał śmiałego przelotu aż nad trzema częściami świata — a mianowicie: nad Europą, Azją i Afryką. Wyniosło to razem czternaście tysięcy trzysta dziesięć kilometrów.

Zaciekawieni — bierzecie mapę do ręki.

— To znacznie dalej, niż z Warszawy do Przemyśla, ale nie tak znów daleko, aby uważać lot kapitana Karpińskiego za niezwykle rekord odwagi i wytrzymałości. — Tak powie ten, kto nie wyczuwa skali mapy. Ale jeżeli zada sobie ten trud, bliżej zainteresuje się tym wspaniałym lotem i zacznie przeglądać książkę z geografji, to przekona się ze zdumieniem, że na drodze lotu naszego dzielnego kapitana leżą kraje: Polska, Bułgaria, Turcja, Syryja, Persja, Afganistan i t. d. Jak w kinie, migają piękne i wielkie miasta: Bagdad, Teheran, Kair, Jerozolima, Konstantynopol... Kapitan Karpiński musiał przelatywać nad łańcuchami wysokich gór, sięgających często czterech tysięcy metrów, musiał przebyć morze Czarne, Marmara, Śródziemne, Martwe. Na drodze swego lotu spotykał pustynie, natrafiał na różnorodne warunki klimatyczne, borykał się z wielu przeszkodami.

Całą tę olbrzymią drogę kapitan Karpiński przebył w ciągu stu ośmiu godzin i 50 minut.

Podziw Wasz dla kapitana Karpińskiego rośnie.

I nie tylko Wasz podziw!

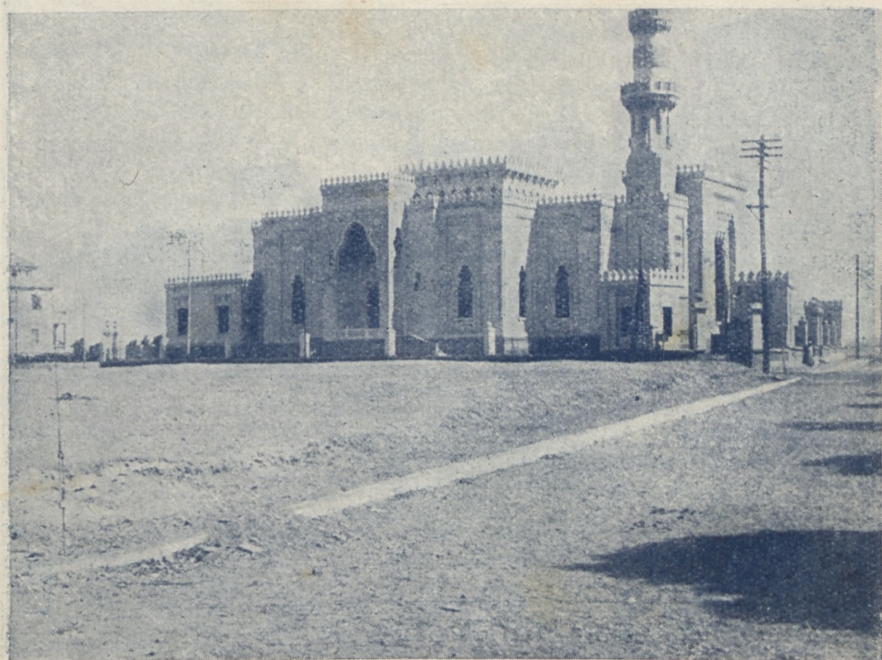
Całe nasze społeczeństwo jest dumne z odwagi i energii polskiego lotnika.

Pisma różnych krajów zamieściły szereg artykułów, w których pełno jest słów uznania dla dzielności lotników i wytrzymałości polskich samolotów. Bo trzeba Wam wiedzieć, że do wykonania swego lotu kapitan Karpiński wybrał polski samolot „Lublin RXa”, konstrukcji polskiego inżyniera Jerzego Rudlickiego. Ponadto samolot zbudowany został całkowicie w Zakładach Mechanicznych „Plage i Laśkiewicz” w Lu-



NASI LOTNICY NA LOTNISKU W KABULU ODBIERAJĄ HONORY OD WOJSK AFGANSKICH.





MECZET W KAIRZE.

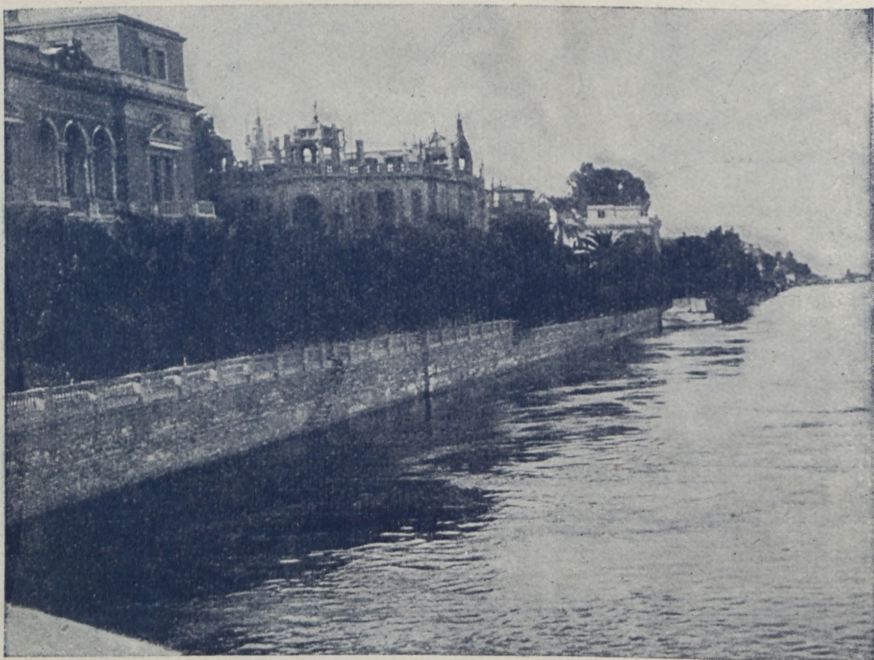
blinie. Samolot ten zaopatrzonej został w silnik również polski „Wright-Skoda”, zbudowany w polskich Zakładach Skody na Okęciu pod Warszawą. Przymiotnik „polski”, „polska”, stale się tu powtarza, nic przeto dziwnego, że jesteśmy tak dumni z tego lotu, którego celem zasadniczym było szerzenie wiadomości o naszym lotnictwie, naszego przemysłu lotniczego i wogóle Polski w krajach muzułmańskich. Dzielni nasi lotnicy w czasie swej azjatyckiej podróży przebywali miasta, w których byli jedynymi Europejczykami. Skrzydła polskie zwycięsko zaszumiły nad Azją! Teraz już wyraz Polak będzie w odległej Azji, gdzie byli nasi lotnicy, symbolem odwagi i dzielności, a jeżeli ktoś z Was, gdy dorosnie, znajdzie się przypadkiem w tych krajach azjatyckich i powie, że jest Polakiem, będzie miał zapewnione życzliwe przyjęcie i sympatię.

Kapitan Karpiński przywiózł dużo ciekawych wrażeń, któremi podzielił się z rodakami, czy to zapomocą artykułów w prasie, czy też odczytów.

Oto w krótkich słowach podany opis drogi kapitana Karpińskiego.

Wyleciawszy wraz ze swym towarzyszem, mechanikiem Rogalskim, w dniu 2 października z Warszawy, po przebyciu Karpat i Bałkanów, wylądował w pobliżu bułgarskiego miasta Sliven. Nazajutrz, 3 października po przelocie ponad wysokim pasmem górskim wzdłuż





NAD NILEM.

morza Czarnego, lądował na lotnisku stambulskim. 4 października leciał częściowo nad morzem Śródziemnym i wylądował w mieście Aleppo. 5 października, po opuszczeniu Aleppo, w ciągu 6 godzin osiągnął Bagdad. Zatrzymali się w tem mieście kilkanaście godzin, poświęcając ten czas na udzielanie wywiadów miejscowej prasie i zwiedzaniu tego ciekawego miasta Wschodu, które posiadało ongiś sto tysięcy minaretów i 80 tysięcy bazarów. Po opuszczeniu Bagdadu nazajutrz skierowali się w stronę Teheranu, stolicy Persji. Lot ten był bardzo ciężki, przelatywali bowiem nad wysokimi górami, dał wiatr niesprzyjający. W Teheranie zabawili kilka dni i 9 października wystartowali w Afganistanie. Następnego dnia osiągnęli Kabul, stolicę Afganistanu, który był pierwszym końcowym etapem ich lotu.

12 października wystartowali do drogi powrotnej. W czasie lotu omal że nie dostali się w lej trąby powietrznej, którą szczęśliwie ominęli. Drugim końcowym etapem ich lotu był Kair, stolica Egiptu, gdzie znaleźli się w dniu 16 października. Po opuszczeniu Kairu w dn. 18 października wylądowali w Palestynie. Ziemia Święta, tak bogata w pamiętki drogie sercu każdego chrześcijanina, zatrzymała naszych lotników przez dwa dni. Zwiedzili Jerozolimę, Grób Chrystusa Pana, Jerycho, Betleem, Jordan, morze Martwe... Nazwy tych miejscowości prze-



mawiają do nas głosem historii. Cała ludzkość garnie się do tych świętych miejsc w porywie miłości i wiary. Każde miejsce, każde załamanie muru, kamień nieledwie każdy były świadkiem wielu cudownych, świętych, to znów okropnych, przerażających chwil. Dzieje bowiem Ziemi Świętej obfitują w fakty ogromnej doniosłości historycznej. A przytem przybywają tu wciąż pielgrzymi całego świata, by u miejsc, zroszonych krwią męczenną Zbawiciela Świata, nabrać siły i wiary na całe życie.

Tak to potężnie przemawia do uczucia i wyobraźni pełna pamiątek Ziemia Święta. Lotnicy nasi po opuszczeniu w dn. 20 października palestyńskiego lotniska w Gazie, skierowali się w drogę powrotną do kraju, poprzez Aleppo i Konstantynopol.

24 października byli już z radością witani na lotnisku Mokotowskim w Warszawie.

Ogólna ilość przebytych kilometrów wyniosła 14.390. Czas trwania lotu wynosił 108 godzin i 50 minut.

Polski aparat wytrzymał te sto osiem godzin ciężkiej pracy, nieraz wśród niezmiernych chmur piasku, czasem piekielnie rzucany wirami powietrza. Lotnicy polscy doskonale znieśli trudy podróży w ciągu 21 dni i 21 nocy. Polacy, których spotykał kapitan Karpiński na swej drodze, płakali nieraz ze wzruszenia, nabożnie dotykając dłońmi srebrzystych skrzydeł polskiego samolotu. Bo samolot ten przynosił im pozdrowienie z ojczyzny, w ciągu szeregu lat niewidzianej, bo samolot ten, polski samolot, napęłniał ich dumą.

— Wielką jest nasza ojczyzna — mówili potem z radością do mułmanów. A ci na pewno odpowiadali. — Tak, wielki zaprawdę jest ten wasz „Lechistan”, ziemia Żółkiewskiego i Sobieskiego, kraj odważnych bohaterów, nie lękających się ni morza, ni gór, ni pustyń, ani wielkich przestrzeni azjatyckich...

*Jerzy Karbowski.*



KARPIŃSKI I ROGALSKI PRZED MECZETEM OMARA W JEROZOLIMIE.



9)

## ZACZAROWANA LATARENKA.

*Napisała Aleksandra Aniela Wolska.*

Minęła północ, rozjaśnił niebo dzień trzeci. Homir od białego ranka polecił księżniczce, by w dzień się wyspała, jako że nocą do matuchny na Stare Uroczysko pójść muszą.

Usłuchała księżniczka. Dzionek cały przespała, a niedługo po zachodzie słońca, gdy zasnął cały zamek i lud, oczekujący na zrękowiny księżniczki, razem z Homirem cicho a ostrożnie opuścili zamek. I poszli na Uroczysko. Do kurhanu, pod którym leżała matuchna, był jeszcze spory szmat boru, gdy Homir przystanął, mówiąc:

— Dalej sama iść musisz, Milado, i sama z matuchną mówić. Gdyby ci zwidy - cienie w boru przeszkadzały, nie bój się. Bóg jest z tobą, idź śmiało. Gdy wracać będziesz, spotkam cię na pół drogi.

Usłuchała księżniczka. Z początku szła odważnie, słysząc za sobą Homira, nucącego znaną jej radosną, monotonną pieśń. Lecz gdy już głos jego przestał dochodzić, ogarnął ją niepokój. Jakiś szelest, świst, śmiech syczący zaczął szaleć wokoło, a od ziemi, od mchów, od olbrzymich, starych drzew odrywały się maskary okropne z błyszczącymi, zielonemi oczami, kosmate, cudaczne. Zabiegały jej drogę, pod nogi się rzucały, by tylko naprzód nie szła.

W księżniczce zamarło na chwilę serce ze strachu, lecz wspomniawszy na słowa Homira, na rycerza z dalekiej krainy, krzyż śmiałą ręką w powietrzu nakreśliła. Pierzchy wówczas wszystkie straszylamamidła, więc Milada z dumnie podniesioną głową poczęła iść poprzez czern boru. Doszła nareszcie do Uroczyska. Tu jasno było od poświęty księżycy. Podeszła do kurhanu knehini, westchnęła z całego serca i zawołała drżącym ze wzruszenia głosem:

— Matuchno, matuleńko,  
ulituj się nad córeńką.  
Z rozkazu bożego,  
z nieba gwiazdzistego  
przyjdź na ratunek!

I stała się nagle dziwna cisza. Wiatr przycichł, przestały szumieć drzewa, a przed Miladą stanęła knehini Tomira i piękna i łagodna, jak żywa. Milada ramiona ku niej podniosła, prosząc gorąco, by z pomocą jej przyszła w strapieniu. Knehini złoto-rudą główkę pochyliła, uśmiechnęła się cudnie i rzekła:

— Wracaj z Homirem na zamek, córeńko! Wracaj! A w schowku koło łoża swego zastaniesz zaczarowaną latarenkę, która cię ze wszystkich kłopotów wywiedzie. Pamiętaj tylko przez całe długie życie, że każdemu w potrzebie pomagać masz, jak tobie pomogłam.

I nauczyła księżniczkę, co i jak robić z latarenką w ciężkiej godzinie, potem dotknęła jej czoła swą miluchną dłonią i znikła. Księżniczka głośno matuchnie podziękowała, choć jej już widać nie było, i co tchu zpowrotem ruszyła.





Cudna to była latarenka...



Na pół drogi spotkała Homira. Razem tedy na zamek wrócili i czempredzej do komnaty księżniczki poszli latarenkę oglądać.

Cudna to była latarenka, choć tak niewielka, że i dziecko nosićby ją mogło. Zamiast szybek — drogocenne kamienie, wprawione w pięknie cyzelowane złoto. Zamiast rączki — cztery łańcuszki złączone na kółku, które na każdy gwóźdź powiesić było można. A zameczek na drzwiczkach był z płaskiego rubinu.

*Dalszy ciąg nastąpi.*

## K I N O.

Bywają filmy takie, które nigdy nie tracą na wartości; są to filmy dokumentalne. Jak to wskazuje sama nazwa, film dokumentalny jest pewnego rodzaju „dokumentem” zdarzeń, które się działy w rzeczywistości, a nie były tylko wymyślone przez scenarzystę i zagrane przez aktorów. Takim jest np. film p. t. „Z Byrdem do bieguna”. Dzięki coraz większemu udoskonaleniu kina (zarówno fotografii, jak zdjęć dźwiękowych), dzisiaj już żadna wyprawa podróżnicza, czy to myśliwska, czy naukowa — nie wyrusza bez aparatu kinowego, albowiem to, co zostaje utrwalone na taśmie, ma równie doniosłą wartość, jak inne dokumenty (notatki, wykresy i t. p.) i, w dodatku, pozwala podziwiać całemu światu to, co dawniej było dostępne tylko tym, którzy w danej wyprawie sami brali udział.

Weźmy choćby wyprawę Byrde'a do bieguna południowego. Dzięki temu, że zabrał ze sobą operatora filmowego, mamy dokładny obraz życia bohaterskiej załogi „Małej Ameryki”, pozostającej przez szereg miesięcy wśród lodów podbiegunowych i wydanej na pastwę niezbadanych sił przyrody. Obserwujemy codzienny tryb życia podróżników, ich prace i rozrywki, ich sposób mieszkania i odżywiania się, chwile wesołości oraz tęsknoty. Podziwiamy ich wytrwałość, denerwujemy się z powodu grożących im niebezpieczeństw i — wreszcie cieszymy się powodzeniem, jakim wyprawa została uwieczniona. Operator filmowy nie zaniedbał pokazania nam też takich „klientów”, których zazwyczaj trudno jest prosić o pozowanie do zdjęć, mianowicie — podbiegunową faunę. Zwłaszcza ptakom północnym, pingwinom bardzo się podobała rola gwiazd filmowych i wywiązały się z niej znakomicie.

Gdy już o zwierzętach mowa, muszę wspomnieć, że wśród amerykańskich reżyserów filmowych mamy kilku, którzy z zamiłowaniem do włości częgi po świecie odbywają najegzotyczniejsze podróże i, narażając się na trudy i niebezpieczeństwa, filmują dzikie zwierzęta w ich właściwym otoczeniu, a więc — w dżungli, w pustyni i t. p. Tego rodzaju filmy czasem mają jakąś treść zmyśloną, ale tło jest zawsze prawdziwe; zdarza się jednak często, że i historie są prawdziwe. Zapamiętajcie sobie dwa takie filmy: „Chang” historia słonia i „Kango” — historia małpki i malajskiego chłopca. W jednym i w drugim filmie podpatrzone są doskonale różne zwyczaje zwierząt.

*Stef. H.*





## ŚWIĘTY MIKOŁAJ

Wczoraj był dzień świętego Mikołaja, święto dzieci. Któż z Was nie cieszy się na tę noc, kiedy to na krzeselkach, umyślnie w tym celu przy łóżeczkach przygotowanych, znajdujecie rano po przebudzeniu zabawki, słodycze? A jak serduszka Wasze mocno biją w oczekiwaniu tej chwili! Czy wiecie, dlaczego święty Mikołaj tak szczodry jest dla Was, czy znacie jego historję?

W kraju bardzo dalekim, położonym między Europą a Azją, w kraju, który nazywa się Mała Azja, leży miasto Myra. W tym to mieście żył młodzieniec, imieniem Mikołaj. Był nieładny i nieśmiały, ale bardzo bogaty. Nie cieszyły go jednak te wszystkie bogactwa. Myślał ciągle o tem, jak wielu jest biednych na świecie, którzy głód i zimno cierpieć muszą wtedy, gdy on opływa we wszystko, czegokolwiekby mógł zapragnąć. A najwięcej bolało go, gdy widział biedne małe dzieci, często nie mające nawet sukienki. W lecie to jeszcze tak bardzo nie szkodziło, ale gdy przyszła zima, to biedactwa tak straszliwie marzły! Czasem, gdy szedł ulicą, widział takie biedne, zmarznięte dziecko, stojące przed straganem, pełnym różnych dobrych rzeczy i przyglądające się chciwie tym wszystkim smakołykom, których smaku nawet nie znało, bo przecież rodzice jego byli biedni i często nawet chleba dać mu nie mogli.

Na ten widok krajało się serce Mikołaja i myślał, jakby tym wszystkim dzieciom pomóc? Prawda, iż mógł rozdać cały majątek między biednych, ale wtedy wszyscy o tem wiedzieli, dziękowaliby mu, a tego nie zniosłby nigdy, nadto był nieśmiały i skromny.

I tak sobie wymyślił, że co nocy, gdy wszyscy w mieście już spali, wychodził cichutko z domu tak, by go nikt nie widział, pod płaszczem chował wór pełen różnych rzeczy i wędrował tam, gdzie wiedział, że mieszkają biedne dzieci. Tu, niesłyszany i niewidziany przez nikogo, wypakowywał swoje dary i ostrożnie wracał do domu.

Rozeszła się wieść po mieście, że ktoś — duch może, dobry czy też zły? — obdarowuje wszystkie biedne dzieci. Nikt jednak nic pewnego powiedzieć nie mógł, nikt go bowiem nie widział. Tylko jedna mała dziewczynka opowiadała, że widziała niebieski w barwne kwiaty worek, z którego „ktoś” wysypywał te różne śliczne rzeczy, które, budząc się rano, znalazła.

Razu pewnego straż zauważyła człowieka, który w nocy chyłkiem przekradał się ulicami. Mógł to być złoczyńca, chciano go schwytać,



ale Mikołaj — bo to był właśnie on — wymknął się strażnikom i zaczął uciekać. Dniało już, ludzie zaczęli kręcić się po ulicach. Widząc uciekającego przed strażą, zaczęli go gonić. Mikołaj wpadł do kościoła, chcąc się tu schronić. Na progu wysunął mu się z pod płaszcza niebieski w różnobarwne kwiaty worek, a z worka potoczyły się placki, pierniki... Wtedy z tłumu wybiegła mała dziewczynka, wołając:

— To on, to on, nasz dobroczyńca!

I wszyscy poznali, że to był ten najlepszy i najmiłosierniejszy z pośród nich, który wszystkie swoje bogactwa rozdawał biednym a sam dla siebie nic nie pragnął. A biskup, który był bardzo już stary, nazaczył go swoim następcą. Dlatego na wszystkich piernikach i obrazkach widzicie świętego Mikołaja z infulą i pastorałem.

*Marja Marczyńska.*

## O DOBROTCE, CO DO CZAROWNICY NA SŁUŻBĘ POSZŁA.

Dokończenie.

Roboty miała dużo, bo w całym domku pajęczyn pełno było i kurzu, a okienko takie było brudne, że się Dobrotka na niem palcem podpisała, zanim je umyła. Po kilku dniach Dobrotkowej pracy, cały domek wyglądał tak czysto, jak mało który we wsi. A Dobrotka odzież Czarownicy poprała, poprasowała i codzień gotowała jeść dla sześciorga: dla siebie, dla Czarownicy, dla kota i dla trzech piesków, które Czarownica leczyła, bo były przez złych gospodarzy strasznie tłuczone. Dwie rzeczy dziwiły Dobrotkę. Jedno to, że co wieczór, (jak mówił kowal) przylatywała do Czarownicy sowa wielkogłowa i że Czarownica o czemś z nią rozmawiała, a drugie to, że Czarownica codzień na Łysą Górę chodziła sama jedna.

Pewnego razu Dobrotka taka już była ciekawa, że zapytała kota, co to ma znaczyć. A kot na to:

— Właściwie, to nic ci nie powinienem mówić, bo jest cnotą nad cnotami trzymać język za zębami, ale, że cię lubię, więc ci powiem tak: sowę wielkogłową znalazła kiedyś moja pani w lesie z przetrąconem skrzydłem. (Podobno syn kowala kamieniami w nią ciskał). Moja pani sowę wyleczyła i ta z wdzięczności co noc przylatuje do niej w gości. A na Łysą Górę moja pani chodzi, bo to niedaleko od chaty i słońca tam jest dość a moją panią boli w nodze kość, więc wygrzewa na słońcu nogę. Nic ci więcej powiedzieć nie mogę. Wiesz już teraz?

— Wiem — mówi Dobrotka, — ale dlaczego cała okolica na tę dobrą kobiecinę mówi „czarownica”?

— Dlatego, — miauknął kot — że moja pani to sowę leczy, a to chorego kruka w lesie wyszuka, a i mnie przecież kociakiem zabiedzonym wzięła i dziś jestem, jak się patrzy, kotem, a ludzie zaraz plotkują. Ech, nie warto mówić o tem! A w dodatku moja pani po swoim ojcu



Czarownicę ma brzydkie nazwisko Czarownica i z tego też się natrząsa cała okolica.

Usiadła Dobrotka przed chatą i myśli nad tem wszystkim, co jej kot powiedział, a tu nagle fiut, fiut, znajoma dzierlatka na ramieniu jej siada i powiada:

— Co u ciebie słychać, Dobrotko? Powiem ci coś ciekawego ze świata, niedarmo po śmietnikach latam. Towarzystwo Opieki nad zwierzętami dowiedziało się, że w tych okolicach strasznie są prześladowane zwierzęta. Otóż ustanowiono nagrodę za najlepiej odchowane zwierzątko. A potem będzie uroczysty pochód gospodarzy z najpiękniejszymi zwierzątkami. — Cmok, cmok, pocałowała dzierlatka Dobrotkę na pożegnanie.

A Dobrotka dalej do kota, do Czarownicy i wkońcu uradzili, że kot Kizia Mizia Puk jest najpiękniej odchowaniem zwierzęciem w okolicy i że powinien zostać nagrodzony.

Pani Czarownica z początku chmurzyła lica, ale się zgodziła pójść z kotem do Towarzystwa Opieki nad zwierzętami. Tam przyznali, że Kizia Mizia Puk dostaje pierwszą nagrodę za piękność i dobre wychowanie kocie. Nagrodę w złocie dali pani Czarownicy do woreczka, żeby kot czasem nie zgubił. Potem był pochód najlepiej odchowanych zwierząt. A w tym pochodzie pani Czarownica z kotem i z Dobrotką szła sobie na przódzie.

Jak to ludzie zobaczyli, zaczęli się pani Czarownicy kłaniać do samej ziemi. A kowal zaprosił ją nawet do siebie na chrzciny. A pani Czarownica podzieliła się z Dobrotką i z kotem otrzymanem złotem. Potem kupiła duży arkusz papieru i napisała podanie, żeby jej zmienił nazwisko, bo nie chce się nazywać Czarownica.

Niedługo przyszedł list z ministerstwa, że pani Czarownica nazywać się będzie Aniołkiewicz. Kot, jak się o tem dowiedział, nadrapał pazurem na ścianie chatki: — „Tu mieszka pani Aniołkiewicz”. Wszyscy z podziwem czytali ten napis, a kot stał zdaleka i miauczał:

— Miau, miau, miau, a to dopiero cud się stał.

A dzierlatka przyleciała do Dobrotki i fiuknęła: — Fiut, fiut, Dobrotko, fiutaj sobie na cały świat, niepotrzebnie płakałaś, gdy tu wędrowałaś, bo widzę, że ci tu dobrze, jak u Pana Boga za piecem.

*Lucyna Krzemieniecka.*





14)

## BURSZTYNOWY TALIZMAN.

Opowiadanie z czasów dzisiejszych.

I przyśnił się Piotrusiowi zaraz sławny specjał tego czcigodnego miasta: toruński piernik. Okrągły i złoty, jak słońce, z migdałem wielkim, jak pięść, w środku, tkwił nieruchomy nad głową Piotrusia, a znakomity dawny mieszkaniec Torunia, astronom Mikołaj Kopernik, w kanonikowskiej swojej rotundzie, ale w czapce, podobnej do czapki konduktora, pokazywał na ten piernik wyciągniętym palcem i mówił do Piotrusia:

— Patrz, obraca się, jak ziemia dookoła słońca.

Piotruś patrzył posłusznie, ale tego nie widział, żeby się piernik kręcił. Przeciwnie był nawet pewien, że piernik jest przymocowany do sufitu nieruchomo, jak wagonowa lampa. Grzecznie poprosił więc sławnego astronoma o lunetę. — Może przez lunetę zobaczę?

Kopernik bardzo uprzejmie podał chłopcu olbrzymi staroświecki przyrząd do badania gwiazd.

Piotruś spojrział ciekawie przez szkła i... o dziwo! Ujrzał przed sobą oko wielkiej sieci, a w tem oku uwięziony, jak rybka, mały, ceglany domek. Na progu tego domu, nowy dziw! Stał nieznajomy człowiek z fajką i znajoma dziewczynka z bursztynowego sklepu w Warszawie. Dziewczynka uśmiechnęła się do Piotrusia, a nieznajomy człowiek z fajką coś do Piotrusia zawołał. Piotruś usłyszał wyraźnie jego słowa, ale ich nie zrozumiał. Takimi słowami nikt nie mówił w Warszawie... Zdziwiło to Piotrusia tak bardzo, że... obudził się nagle.

— I w poręś to zrobił — powiedział, widząc to, pan porucznik, — bo właśnie dojeżdżamy.

— Dojeżdżamy do morza! — ucieszył się Piotruś.

Hops, na równe nogi i hyc do okna! Ale tu się zawiódł: morza niema! Biegnie do okna na korytarzu, wygląda: i tu niema morza!

Co powiecie? Morza nie było wcale ani po tej, ani po tamtej stronie pociągu.

Przez lewe i przez prawe okno widział Piotruś wyraźnie tylko załogonki z rzadkim, niziutkim owsem, tylko niewielkie, dziwacznie powyręcane sosny, tylko chaty, mającejące bielą ścian w zapadającym zmroku.

— Więc cóż się stało z morzem? przepadło? zginęło? — niepokoił się zawiedziony Piotruś.

— Znajdzie się jutro rano. Znajdzie się, skoro świt — śmieje się towarzysz Piotrusia. — Znajdzie się prawie tuż za ścianą twego nowego domu — obiecuje uroczyście.

— Czy aby na pewno, psze pana? — upewnia się Piotruś.

— Na pewno — ręczy pan Tadeusz.

To uspakaja Piotrusia, który jest tak oszołomiony długą podróżą, trzęsieniem pociągu i zmianą miejsca, że sam już nie wie dobrze, czego bardziej pragnie: widoku nieznanego morza, czy... dobrze znanego kufka, na którym o tej porze zasypiał u matki w Warszawie.





... ściska go za rękę tak mocno...



Piekące z podróży oczy kleją mu się na nowo, a tak gwałtownie, że nawpół przytomny drepcze omackiem za swoim przewodnikiem po jakiejś piaszczystej drodze, przy ulicy. Potem, niespodzianie, hyc! i utknął nosem w plecak pana porucznika.

— Co... co to? — usiłuje Piotruś ocknąć się i rozejrzeć przytomnie.

Jak przez mgłę widzi, że pan Tadeusz wita się z nieznanym wysokim i czarnym człowiekiem, palącym fajkę. Człowiek ten stoi na progu niskiego, ceglanego domku w otwartych drzwiach, pełnych światła i zapachu smażeniny. Takiego samego widział go Piotruś w swoim śnie w pociągu. Mimowoli więc obejrzał się, czy jest w bliskości i owa bursztynowa dziewczynka, ale dziewczynki nie dojrzał, a szukać jej nie miał czasu, bo uczył, że pan Tadeusz bierze go za ramię, popycha lekko naprzód, przed siebie i przedstawia go człowiekowi z fajką.

Człowiek z fajką wyciąga do Piotrusia wielką, szeroką dłoń i ścisną go za rękę tak mocno, że Piotruś, aby się nie skrzywił, mruży oczy. Po sekundzie jednak, gdy Piotruś oczy otwiera zpowrotem, widzi zdumiony, że pan porucznik i człowiek z fajką nikną gdzieś w ciemnościach, Piotruś, odrazu jest w samym ciepłym świetle, we wnętrzu izby, zastawionej bardzo porządnymi sprzętami... I nie tylko jest, ale nawet siedzi wygodnie w głębokim krześle przy szerokim stole i je coś, co mu ogromnie smakuje, a co pachnie smażonym olejem i rybą.

Teraz tutaj, zamiast znajomego pana Tadeusza i nieznanego człowieka z fajką, stoi naprzeciwko niego tęga i wysoka kobieta w czarnej chusteczce na siwych włosach. Ta kobieta ma brązową, surową twarz, obcą zupełnie, ale oczy ma siwe i dobre, ma oczy Piotrusiowej matki.

Więc Piotruś bez trwogi uśmiechnął się do niej i, przełknąwszy ostatni kęs, chciał ją pocałować w rękę, ale jakimś sposobem zrobiło się tak, że oto jest już on w drugiej izbie sam i leży w ogromnym, ogromnym łóżku na piernatach, poduszkach i poduszczykach... Co się poruży, to głębiej zapada w puch. Jest mu coraz mięcej... coraz wygodniej... coraz rozkoszniej... Ziewnął od ucha do ucha... Przeciągnął się... pomacał przez koszulę ciepłe, bursztynowe serduszko, wiszące mu na piersiach na czerwonej tasiemeczce i westchnął.

Obrócił się na lewy bok i zapadł nosem w najbardziej napuszony jasiek. Sapnął, chrząknął...

A wtedy z drugiego łóżka pod ścianą podniosły się dwie krótko ostrzyżone głowy i zaszeptały dwa ciche głosy w nocnej szarości:

— Józek!!<sup>1)</sup>

— Co? Jank.<sup>2)</sup>

— Nick. Spi?<sup>3)</sup>

— Spi.

— Bec ni może.<sup>4)</sup>

— Cicho. Nie trza wrzeszec ani sleriów na niego wewolac. Jesz spi dalij.<sup>5)</sup>

1) Józek. 2) Co? Janek. 3) Nic. Spi? 4) Nie może być. 5) Nie trzeba wrzeszczeć, ani oczu na na niego wywalać. Niech spi dalej.



I spał sobie Piotruś smacznie po dalekiej podróży, pod gościnnym dachem kaszubskich rybaków, na gościnnym kaszubskim łóżku. Wypała się porządnie przez noc do wczesnego rana. Rano obudził się, ale jeszcze oczu nie otworzył, słyszy: szum straszny za ścianą.

— Oho! deszcz leje! — pomyślał Piotruś. — A skoro deszcz leje, to i wstawać tak wcześnie nie mam pogo. Przeczekam ulewę — i, nie otwierając oczu, obrócił się na drugi bok.

Leży, leży — czeka, czeka — a na dworze precz szumi i szumi, ani trochę nie ciszej, ani trochę nie wolniej...

— Ale też to ulewa okropna, ulewa! — dziwi się Piotruś. — Uu! potop chyba! huk, szum i plusk taki, jakbym był nie w domu, a w Arce Noego. Oj! może lepiej wyskoczyć w porę z łóżka!

Czemprędeż otwiera Piotruś oczy... — a tu co?!

A tu w izbie, zamiast, żeby było szaro, jak to bywa w niepogodę, pełno, ale to pełniuteńko słońca!

— Słońce??? To pogoda na świecie? Więc skąd ten huk i szum, i plusk?

Nie wytrzymał Piotruś z wielkiej ciekawości i — do okna!

A tu... a tu... o mój Boże kochany! Tuż pod oknem na żerdziach rozwieszona do słońca mokra, po nocnym połowie, sieć rybacka... a przez te mokre oka sieci... a przez te oka widać bliskie, bliźniuteńkie fale! Prawdziwe fale prawdziwego morza!!!

Prawdę powiedział więc wczoraj pan Tadeusz Słonecznyński, że morze znajdzie się o świcie niedaleko chaty.

— Hip, hip, hurra!

Niemyty, nieczesany, w koszulinie wpakował się Piotruś na okno z kolanami. Przyłgnał cały do parapetu, jak małża do skały, i patrzy, a patrzy, napatrzyć się nie może.

— Oj mamó! mamó! Co też tu tej wody w tem morzu! Nie do uwierzenia, co też tu tej wody!

Od piaszczystego brzegu do samego dalekiego, ale to strasznie dalekiego nieba, nic, tylko woda i woda, same huśtające się fale.

Patrzy Piotruś i patrzy, aż mu się w głowie kręci.

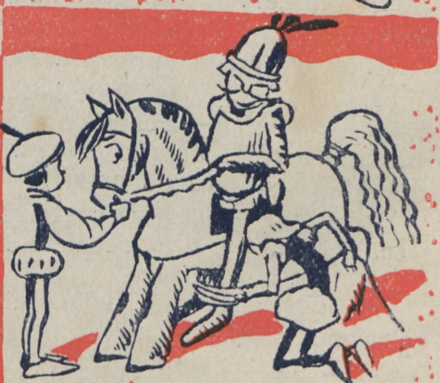
I jakżeż się ma nie kręcić, kiedy bezustannie z szumem fala za falą płynie, raz niebiesko-szara, to szaro-zielona... z pluskiem fala faie goni, z łoskotem fala falę spycha, z klaskiem fala o falę uderza, że piana w górę bryzga i spada w dół drobnym, siekącym prysznicem.

*Dalszy ciąg nastąpi.*





Jak gruby rycerz poradził sobie  
z niesforenym koniem





14)

## TAJEMNICA HOGGARU.

*Napisał L. Życki-Matachowski.*

Lecz Jussup przestał mię poić, mówiąc:

— Więcej nie można! — i zajął się Alim.

Przez ten czas dochodziłem coraz bardziej do przytomności i rozejrzałem się wokół. O parę kroków stały dwa dromadery, które rozpoznałem, jako swoją własność. Wkrótce i Ali wrócił do przytomności. Jussup, widząc, że nic nam więcej nie grozi, zajął się przyrządzaniem posiłku i gotowaniem kawy na maszynie spirytusowej.

Jussup, po moim odejściu, martwił się ogromnie i odczuwał wyrzuty sumienia, że mnie tak samego puścił, tak, że wkońcu wziął od szeika moje dromadery i udał się w moje ślady. Byłby dogonił mię prędzej, gdyby nie samum, który tak zamięótł pustynię, że nawet wytrawne oko Jussupa nie mogło odnaleźć śladu mego przejścia. Błąkając się po hammadzie i wypatrując mnie, dotarł wkońcu do mego nieżywego dromadera. To go napełniło przerażeniem i śpieszył co siły, aby jeszcze zdążyć na czas. Wiedział z doświadczenia, że podróż po rozpalonem podłożu bywa wielce męcząca i często śmiertelna nawet dla zahartowanego wielbłąda a cóż dopiero mówić o zwykłym piechurze!

Lecz zapadająca noc, w czasie której myśmy wędrowali z Alim, była tak ciemna, że musiał zrezygnować z poszukiwań, w obawie, żeby się nie zbił z tropu, co dla mnie mogło być śmiertelne. Lecz, gdy dzień się zrobił, nie przedstawiało dlań żadnej trudności wynalezienie moich śladów na piasku. Ślady te doprowadziły go do skały, gdzie odnalazłem Alego. Ze szczątków przeciętego powroza odgadł tragedję, jaka się tu rozegrała i wkrótce dogonił nas. Był to najwyższy czas... Jeszcze godzina a nie byłibyśmy przy życiu.

— No, ale się dobrze skończyło — śmiał się z zadowoleniem Jussup. — Teraz należy myśleć o tem, jak się wydostać z innych niebezpieczeństw.

— Teraz — rzekł na to Ali ben Mohamed, który odzyskał już całą swą powagę wodza — ja was biorę pod opiekę i ja was poprowadzę.

Na pytające me spojrzenie, dodał: — Do domu ojca mego. — Poczem wdrapał się na jucznego dromadera i poderwał go na nogi. Mnie posadził za sobą na siodle Jussup i wyruszyliśmy raźnie w góry.

Grunt pod nogami był już teraz równy i gładki, to też zasympałem na siodle, trzymając się instynktownie Jussupa, celem utrzymania równowagi, zagrożonej przez jakiś nieprzewidziany skok wielbłąda.

Wjechaliśmy w jakąś dolinę, pustą i bezludną, chociaż gdzie niedługo porośniętą kępami suchej trawy zw. „alfa”. Tutaj popaśliśmy przez krótki czas wielbłądy, poczem ruszyliśmy dalej. Już się ściemniało, gdyśmy dotarli aż do wysokich ścian skalnych. Objechawszy je, znaleźliśmy się nagle w obszernej dolinie, a przed nami tuliła się zdala do górskich zboczy jakaś wioska.

*Dalszy ciąg nastąpi.*



**TŁUCZENIE.**  $\frac{1}{2}$  kilo żytniej mąki zagnieść z wodą na twarde ciasto, zrobić cienki placek i upiec. Jak ostygnie, utłuc go na mąkę i przesiać przez gęste sito.  $\frac{1}{2}$  litra miodu zrumienić, wsypać 1 dk. potłuczonych goździków i cynamonu, kilkanaście laskowych orzechów lub garść obranych pestek z dyni, dodać mąkę z placzka, i smażyć mieszając, aż dobrze zgęstnieje. Masą tą smarować oplatek i przykryć drugim oplatkiem. Na drugi dzień pokrajając ostrym nożem.

**KRUCHE CIASTECZKA.**  $\frac{1}{2}$  kilo mąki pszennej, 1 jajko,  $\frac{1}{8}$  litra śmietany, 1 łyżka masła,  $\frac{1}{8}$  klg. cukru, odrobina soli i na koniec noża sody oczyszczonej. Wszystko to razem zagnieść na twarde ciasto i wycinać szklanką ciasteczka, lub też robić waleczki i układać w różne desenie. Kłaść na blasze, wysmarowanej tłuszczem, i piec w dość gorącym piecu. Z tej proporcji będzie spora ilość ciasteczek.

**DROBNE PIERNICZKI.** Rozpuścić 1 szklankę miodu, 2 całe jaja utrzeć do białości ze szklanką cukru i wymieszać to doskonale z miodem, dosypując potrochu: 2 szklanki pszennej i 2 szklanki żytniej mąki, dodać sporą łyżeczkę sody oczyszczonej lub amonji (dostać można w składzie aptecznym) i dosypać  $\frac{1}{2}$  deka cynamonu i  $\frac{1}{2}$  goździków tłuczonych. Następnie ciasto wyrobić doskonale na stolnicy, rozwałkować na pół palca grubo i wykrawać całuski, kółka, serca, ptaszki, lepić „Mikołaje” i t. p. Piec na masłem smarowanej blasze. Z tej proporcji wyjdzie duże pudelko pierniczków. Chcąc, aby były jeszcze smaczniejsze, posmarować je lukrem i wysuszyć w piecu.

**LUKIER MIĘTOWO-BIAŁY.** Jedno białko rozetrzeć z łyżką cukru-mączki, aby się utworzyła jakby gęsta śmietana, dodać do tego parę kropel olejku miętowego lub różanego (za 20 gr. kupić w aptece), wymieszać i cienko piórkiem smarować pierniki.

Smacznego apetytu! Będzie co jeść w święta.

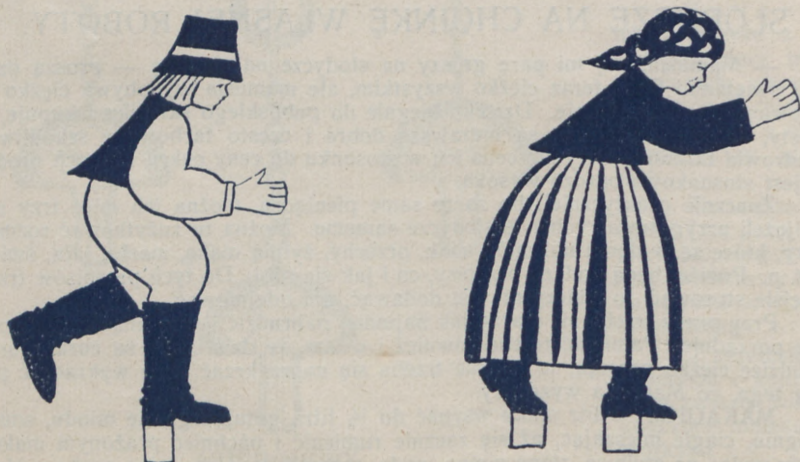
*Marzenna Saryusz-Stokowska.*

## GONIĄCE SIĘ LALECZKI.

Zabawka, którą mogą zrobić starsze dzieci dla młodszych na gwiazdkę.

Weźmiemy dwa niewysokie pudełka, czworokątne lub okrągłe, mogą też być w braku innych dwa pudełka od zapalek.

Kładziemy jedno na drugie i wycinamy otwory: w pokrywce i dnie górnego pudełka i pokrywce dolnego.



Rys. 1. LALECZKI.



Teraz weźmiemy patyczek (może być od paczek) taki, by luźno mógł się obracać w wyciętych otworach. W patyczku robimy nacięcie, w którym wiążujemy cienki sznurek. Związać należy bardzo mocno.

Wiercimy jeszcze jedną dziurkę w boku pudełka (rys. 2). Bieremy wolny koniec sznurka i z pomocą jakiej szpilki, patyczka lub przez otwarcie pudełka, przesuwamy ten sznurek najpierw przez górny otwór potem przez boczny.

Na końcu przytwierdzamy patyczek mały. Teraz włożymy nasz patyk przez górny otwór pudełka i następnie przez otwór w dnie i w pokrywce dolnego pudełka. Kręcąc górną częścią patyczka, nakręcić możemy sznurek na patyk.

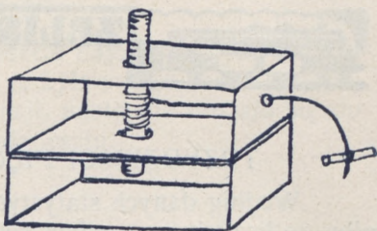
Teraz wytniemy koło ze sztywnej tektury. W kole, blisko obwodu zrobimy nacięcia dla przymocowania laleczek.

Wycinamy laleczki według rys. 1: 2 chłopców i dwie dziewczynki; wsuniemy dolne części nóg w nacięcia, zegniami je i przykleimy.

Kółko nasadzimy ciasno na wystającą część patyka. Laleczki trzeba z obu stron pomalować, lub okleić jaskrawymi papierami. Gdy pociągniemy za sznurek — laleczki będą się przedziutko gonić.

Po odkręceniu całego sznurka, nakręcimy go zpowrotem, obracając patyk. A mały braciszek będzie klaskał w rączki z uciechy.

*M. Wertenówna.*



Rys. 2.  
PUDEŁECZKA I PATYCZEK  
ZE SZNURKIEM.



GOTOWA ZABAWKA.



## Dział rozrywek.



JAKI BŁĄD JEST W POWYŻSZYM  
RYSUNKU?

### SZARADA.

(Ułożyła Z. S.).

W szaradzie jedna jest i druga rzeka,  
od każdej przestrzeń dzieli nas daleka;  
pierwsza trzecia w rosyjskiej ziemi  
płyynie,  
drugiego w italskiej szukaj krainie.  
Lecz nie bierzcie na wspak drugie  
wspak trzecie  
tych wskazówek; łatwiej je  
zrozumiecie,  
gdy wam powiem, że *wszystko* to jest  
skała,  
najbardziej mocna i trwała.

### KALENDARZYK PRZYJACIÓŁ ROŚLIN.

#### GRUDZIEN.

Głównem zajęciem przyjaciela roślin będzie w grudniu czyszczenie pni i gałęzi drzew z mchów i porostów, oraz niszczenie wszelkich zamulonych oprzędów owadzi. Czyszczenie to uskutecznia się zapomocą drucianej szczotki, a w braku jej — kawałkiem szkła. Ale czyścić to trzeba bardzo ostrożnie.

Wieczorami struże się patyczki na podpórki, oraz tabliczki do oznaczania roślin i przebiera się nasiona.

Na kwiatki w pokoju trzeba zwracać baczną uwagę i dbać o to, aby im nie było za gorąco. Przynajmniej 2 razy na miesiąc należy je porządnie spryskać letnią wodą.

Przyszykować sobie skrzyneczki, w które w styczniu wysiejemy wczesne rozsady i kwiatki. Skrzyneczki te można sobie zrobić samemu, lub też kupić w składach gwoździ.

### HALLO! TU MÓWI DO WAS RADJO!

Dzisiejszy program (7.XII, g. 15.35) przeznaczony jest dla młodszych z pośród Was. Wypełni go wdzięczna historyjka o św. Mikołaju, który dorocznym zwyczajem odwiedza dziecię „W grudniowy wieczór”. Potem nastąpi pogawędka „Skrzyneczki” z rodzinką radjową. Czy wiecie, że do skrzyneczki ze wszystkich stron Polski przychodzą listy z błaganiami o pomoc w przyodzianiu biednych dzieci? Czy wiecie, że po wsiach dzieci po kilka kilometrów wędrują do szkoły boso, w perkalikach, w kurteczkach, bez paltek i głodne?... To też skrzyneczka dzisiaj nietylko z mikrofonu, ale i z naszego kącika pływokowego korzysta, aby prosić dzieci zamknięte o pomoc. Przyślijcie, co które może. Przesyłki kierujcie do *Skrzynki dziecięcej Polskiego Radja w Warszawie, Zielna 25*. Ale śpieszcie się!

We czwartek, (8.XII, g. 16.00) jako w dzień świąteczny, nadany będzie program dla dzieci starszych. Usłyszą one pogawędkę przyrodniczą „Gdzie się podziały wszystkie owady?” i nadzwyczaj zajmujące opowiadanie o młodzieńskim Indianinie, który porzuca swój szczenek i wędruje po „mądrość ludzi białych”.

W sobotę, (10.XII, g. 15.35) radość dla najmłodszych: „Wesele lalki”. Zabawki, piosenki, tańce... — wreszcie w niedzielę (11.XII, g. 16.00) warto, by starsza dziewczyna wysłuchała po *nowinach radjogazetki* ciekawej i pouczającej pogadanki p. t. „*Nie było was — był las!*”



## OFIARY.

### DLA RODZINY BOCZKOWSKICH.

Zajchowska Jagusia z Katowic — 5 złotych. Zamiast kwiatów na imieniny Pani Matkowskiej, ofiara na gwiazdkę od klasy I gimnazjum P. Gagatnickiej w Warszawie — 3 złote. Szkoła powszechna Nr. 8, klasa III b w Warszawie — 2 zł.

### NA SAMOLOT DZIECKO SZKÓŁ POWSZECHNYCH.

Szkoła powszechna w Pułhanach — 2 zł. 38 gr.

### NA L. O. P. P.

Szkoła powszechna w Gniewęcinie — 2 złote.

### NA FUNDUSZ UCZCZENIA PAMIĘCI ŻWIRKI I WIGURY.

Jurek Apponowicz, Dobre koło Nieszawy, — 2 złote. Szkoła powszechna w Czerniewicach — 3 zł. 95 gr. Szkoła powszechna w Gniewęcinie — 2 zł. Szkoła powszechna w Bądkowie — 6 zł. 35 gr. Klasa V a szkoły XVII w Królewskiej Hucie — 4 zł. 70 gr. Klasa VI i VII Szkoły imienia Konopnickiej w Ozorkowie — 6 zł. 30 gr. Zamiast kwiatów na grób koleżanki ś. p. Zosi Rosik, szkoła powszechna Nr. 122, klasa II a w Warszawie — 5 zł. Spółdzielnia uczniowska 7-klasowej szkoły w Zaklikowie — 5 zł.

## WESOŁYCH ŚWIĄT!

*Wesołych świąt! Wesołych świąt!  
Trochę pogodnych dni radości!  
Złe myśli precz! Kłopoty w kąć!  
Niech radość w sercach naszych gości!*

*Wesołych świąt! Wesołych świąt!  
Radujmy się kto żyw, kto młody!  
Niech porwie nas bez troski prąd  
tych dni wytchnienia i swobody!*

ALINA KWIECIŃSKA.

---

Do numeru niniejszego dołączamy podarunek gwiazdkowy w postaci książeczki p. t. „Pocztą”. Podarunek dostaną tylko ci Czytelnicy, którzy opłacili prenumeratę przynajmniej za trzy miesiące.

Załączamy blankiet nadawczy P. K. O. z prośbą o wnoszenie prenumeraty.

Nr 16/17 wraz z dodatkami w pojedynczej sprzedaży kosztuje: „Płomyka” — 1.60; „Płomyczka” — 1.—; „Płomyka” i „Płomyczka” — 2.40.

---

### WARUNKI PRENUMERATY NA ROK SZKOLNY 1932/33.

	Miesięcznie	Kwartalnie	Rocznie	Nr. poj.
„Płomyk”	1 zł. 50 gr.	4 zł. 50 gr.	14 zł.	40 gr.
„Płomyczek”	1 zł. 20 gr.	3 zł. 50 gr.	11 zł.	30 gr.
„Płomyk” z „Płomyczkiem”	2 zł. 30 gr.	6 zł. 50 gr.	21 zł.	60 gr.

Ceny podane są wraz z kosztami przesyłki.

Adres redakcji i administracji: Warszawa, Wybrzeże Kościuszkowskie Nr. 35 (wejście od ul. Dobrej Nr. 6).

Dla prenumeratorów warszawskich biuro administracji ul. Świętokrzyska Nr. 18. Nr. telefonu administracji 322-18, redakcji 538-26. Konto czekowe P. K. O. 6880.

Redaktorka przyjmuje od g. 1 do 3, prócz wtorków i sobót.

Administracja przy ul. Świętokrzyskiej otwarta codziennie od godziny 9-jej rano do godziny 7-jej wiecz., na Wybrzeżu Kościuszkowskim od 9-jej rano do 2-jej pp.

---

Wydawca: w imieniu Związku Nauczycielstwa Polskiego — JÓZEF WŁODARSKI.  
Redaktorka—HELENA RADWANOWA. Kierownik artystyczny—MICHAŁ BYLINA.

---

Zakłady Graficzne „NASZA DRUKARNIA”, Warszawa, Sienna 15.





Jaka duża choinka!